# GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 GRUDNIA 1937 R.
Nr. 22 ROK VII



CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

# GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 22

1937 R.

1 — XII



FRANCISZEK KOZŁOWSKI

## GRANICE MOŻLIWOŚCI

*Szeroki zespół czynników gospodarczych i pozagospodarczych ogranicza swobodę wyboru drogi i możliwości działania polityki gospodarczej.*

Pod względem politycznym okres, w którym żyjemy, charakteryzuje bardzo silna pozycja władzy wykonawczej. W gruncie rzeczy dotyczy to zarówno krajów autorytatywnych, jak i krajów demokracji parlamentarnej, — oczywiście w różnym stopniu. Pod względem gospodarczym cechą charakterystyczna obecnego okresu jest niezwykle szeroki zakres ingerencji państwa. Tak szeroki, iż tylko ludzie obznajmieni z historią gospodarczą świata zdają sobie sprawę z tego, iż sytuacja taka nie jest bez precedensów, natomiast szerszej opinii podobny zakres interwencjonizmu wydaje się czemś zupełnie nowym.

Te dwa elementy skłaniają bardzo często do pochopnego wniosku, że polityka gospodarcza współczesnego państwa posiada bardzo szerokie granice swobodnego wyboru, że kierunek i tempo rozwoju gospodarczego kraju jest prostą funkcją tej polityki. W największym uproszczeniu prowadzi to do formułki „chcieć to móc", do przekonania, iż przynajmniej w zakresie polityki gospodarczej możliwa jest swego rodzaju technokracja, kierowana jedynie wolą i wiedzą czynnika rządzącego. Jest rzeczą wprost zadziwiającą, do jakich uproszczeń na tej drodze rozumowania dochodzą niejednokrotnie ludzie bynajmniej nie z kategorii „ludzi ulicy". — Jakżeż często w ostatnich latach zagadnienie polityki walutowej jest prezentowane jako klucz, wystarczający do rozwiązania absolutnie wszystkich problemów. Zaznaczam, że równie naiwny wydaje mi się ten kierunek poglądów, który przeważał w Polsce w ciągu kilku lat, a oparty był na mniemaniu, iż samoutrzymanie parytetu złotego zagwarantuje nam szybki przerost oszczędności wewnętrznej (w kraju ubogim i przeludnionym!) i szybki przypływ kapitału zagranicznego (w okresie obrotu kapitałowego i reemigracji kapitałów do krajów macierzystych!), jak i ten pogląd, że odstąpienie od parytetu złota, czyli jak się to mówi popularnie „zburzenie złotego cielca" zapewni niebywały rozmach życia gospodarczego.

Inny „przebój" ostatniego okresu to gospodarka planowa. Podczas gdy większość zdecydowanych nawet wyznawców planowania gospodarczego zagranicą zastanawia się, czy planowanie może wykluczyć kryzysy gospodarcze, czy tylko je łagodzić, bardzo znaczna część naszej opinii mniema, iż planowa organizacja życia gospodarczego w naszych warunkach jest sama przez się zupełnie wystarczającym środkiem dla radykalnego podniesienia poziomu tego życia.

W chwili obecnej największe znaczenie przywiązuję do przejawów scharakteryzowanego wyżej sposobu myślenia w płaszczyźnie sprawy polityki koniunkturalnej. Znaczenie tem większe, że wspomniana postawa prowadzi do takiego wyjaskrawienia i uproszczenia dwóch wytycznych w zasadzie słusznych, iż tym słysznym wytycznym odbiera słuszność. Mam na myśli nawoływanie do polityki ambitnej, polityki któraby się nie zadawalniała dążeniem do likwidacji skutków kryzysu i ułatwienia dalszej samoczynnej poprawy, lecz stawiała sobie dwa dalej idące zadania: 1) rozwiązanie problemów strukturalnych, 2) przedłużenie okresu poprawy poza czas, dyktowany przez automatyzm gospodarczy. Dążenia te są niewątpliwie bardzo silne, na łamach prasy wszelkich obozów znajdujemy przecież twierdzenie, że Polska ze względu na niski poziom życia gospodarczego nie może się zadowolnić jedynie koniunkturalną poprawą, a dążyć musi do „głębszej przebudowy", że wysoka koniunktura w Polsce trwać będzie czy trwać „musi" dłużej niż na świecie. Głównym argumentem, jakim się tu operuje, jest po prostu stwierdzenie, że byłoby to nam bardzo potrzebne, że wobec polskiej nędzy koniunkturalne podniesienie dochodu społecznego o kilkanaście czy kilkadziesiąt punktów nie może nam wystarczyć, że wobec opóźnienia poprawy w Polsce okres poprawy byłby zbyt krótki, gdyby miał się on skończyć u nas równocześnie ze światem. W braku konkretnych argumentów za możliwością takich osiągnięć , operuje się argumentami z płaszczyzny „chcieć to móc", operuje się przekonaniem o wszechmocy polityki gospodarczej.

W przeciwstawieniu do wyżej scharakteryzowanych poglądów pozwolę sobie wyrazić zdanie, iż swoboda wyboru drogi przez politykę gospodarczą danego kraju ograniczona jest bardzo silnie. W grę wchodzą tu bowiem nie tylko objektywne czynniki, związane z geo-polityczną sytuacją, zaopatrzeniem w surowce, z dorobkiem kapitałowym itp., lecz i szereg czynników bardziej przejściowej natury, ale nie mniej oddziaływujących na politykę gospodarczą z wielką siłą. Nie siląc się na ustalenie hierarchii tych czynników, chciałbym wymienić kilka z nich.

Przede wszystkim w odniesieniu do każdej postaci działania zbiorowiska ludzkiego, czy jednostki ludzkiej, stwierdzić należy, iż doświadczenia cudze uczą bardzo mało, że naprawdę uczy tylko doświadczenie własne. Nie jest to tylko kwestia inercyjności czy niechęci do przestudiowania cudzych wzorów. Różnice warunków są tak istotne w zagadnieniach gospodarczych, iż żaden z t.zw. eksperymentów polityczno - gospodarczych nie może być uważany za doświadczenie, dające się generalizować tak, jak wyniki doświadczeń fizykalnych. Ale jest jeszcze coś więcej. W działalności ludzkiej bezwątpienia ścisłe rozumowanie wyjątkowo tylko daje całokształt elementów, potrzebnych do decyzji. Mniejsza z tem, jak nazwiemy tę „resztę", niezbędną do decyzji. Faktem jest, że ta „reszta" powstaje czy to na drodze doświadczenia osobistego, czy to na drodze tradycji, czy to na drodze ruchu ideowego, rodzącego wiarę w pewne koncepcje. Stąd właśnie — a nie tylko z oportunizmu — wynika, iż następujące po sobie rządy bardzo często pomimo akcentowania różnic programowych robią to samo. Stąd też płynie fakt, że nawet w ustrojach autorytatywnych cały szeroki zespół czynników, nie mających formalnego prawa wpływania na decyzję, na decyzję tę wpływ ma. Stąd w szczególności wynika wpływ t.zw. opinii, która przecież jest wykładnikiem nie czego innego, jak doświadczenia i poglądów ideowych, nurtujących w społeczeństwie, którego cząstką przecież jest „czynnik rządowy".

Przechodząc od tego ogólnego ujęcia warunków polskich, trzeba stwierdzić otwarcie, że nasz kapitał doświadczenia, nasz kapitał znajomości rzeczywistości polskiej, nasz kapitał utrwalonych powszechnie poglądów na zadania gospodarcze kraju, jest ciągle jeszcze ubogi. Spotkałem się kiedyś z poglądem, iż w polityce gospodarczej nie tyle ważne jest co się robi, dokąd się idzie, a jak się robi. Bez wątpienia jest to pogląd świadomie krańcowy. Faktem jest jednak, że w Polsce w bardzo wielu dziedzinach, w bardzo wielu wypadkach jesteśmy dopiero w fazie opanowywania środków działania gospodarczego i że ambitniejsze koncepcje gospodarcze są kolosalnie utrudnione przez to, iż się dopiero uczymy posługiwać aparaturą gospodarczą. Podobnie też wysunięcie dalej idących celów wymaga przecież jednoznacznego uzgodnionego ustalenia większej ilości punktów wyjścia. Jasne jest, że polityka gospodarcza może być tem śmielsza, im więcej ocen rzeczywistości dojrzało już do rzędu niekwestionowanych przez nikogo aksjomatów. Przeżyliśmy — zwłaszcza w pierwszych latach niepodległości — okres, kiedy cały szereg twierdzeń sprzecznych ze sobą prezentowany był opinii jako aksjomaty. Możnaby to nazwać okresem naiwnym. Szereg owych poglądów musiał ulec rewizji, nie wszystkie jednak mogły być już do dnia dzisiejszego zastąpione przez oceny równie aksjomatyczne, ale już nie sprzeczne, już powszechnie uznawane. W zakresie niektórych zagadnień dopiero przeżywamy fazę wyzwalania się w pozornych aksjomatów, fazę rewizji, po której musi nastąpić wyodrębnienie tego, co w zagadnieniu jest sporne, od tego co należy uznać za niesporne. Dotyczy to zagadnień tak podstawowych, jak np. kwestia etatyzmu lub reformy rolnej.

Mówi się o przyspieszeniu rozwoju gospodarczego przez politykę gospodarczą. Powiedzmy jednak wyraźnie, że istnieje także proces rozwoju polityki gospodarczej, że rozwój ten się niewątpliwie odbywa i że przede wszystkim ten proces przyśpieszyć trzeba przez pogłębienie znajomości rzeczywistości polskiej, pogłębienie ruchu umysłowego — tak jak niewątpliwie pogłębieniu i usprawnieniu w latach ostatnich uległa sama technika działania polityki gospodarczej.

Drugi czynnik, określający możliwości polityki gospodarczej, to czynnik polityczny. Sprawa ta bynajmniej nie sprowadza się do formułki silnego rządu. Nie rozwiązuje jej również rzucenie hasła typu „proletariusze łączcie się", czy „ruch narodowo-radykalny odrodzi... i t. p.".

Atmosfera polityczna w kraju może być bardzo różna, a jednak stanowić może czynnik, sprzyjający rozwojowi polityki gospoadrczej.

Z grubsza biorąc możnaby mówić o dwóch korzystnych dla polityki gospodarczej układach sytuacji politycznej. Jeden z nich to znaczny stopień jednolitości politycznej kraju w ramach ruchu ideowego o dużej dynamice. W takich warunkach władza wykonawcza otrzymuje od czynnika politycznego wyraźne wytyczne długofalowe, korzysta z kredytu pozwalającego na zamierzenia większej miary, ma prawo liczyć na poza-gospodarcze bodźce rozwoju gospodarczego.

Drugi korzystny układ sytuacji to typ, że się tak wyrażę angielski, kiedy przy znacznej rozbieżności poglądów w społeczeństwie przy kolejnym zdobywaniu wpływów bądź przez jedno bądź przez drugie skrzydło poglądów, po obu stronach walczących obozów politycznych istnieje jednak zgodność co do kilku czy kilkunastu kadynalnych punktów, stanowiących dla wszystkich ruchów oś działania trwałą, bez względu na wahania linii w odniesieniu do pozostałych zagadnień. Niewątpliwie natomiast niewdzięcznym dla polityki gospodarczej jest taki okres w życiu politycznym, kiedy w społeczeństwie bardzo głęboko ugruntowane jest przekonanie o nieruchomości jakichś głębokich zmian politycznych, bez dostatecznie sprecyzowanego wyjaśnienia, jakich zmian społeczeństwo pragnie i oczekuje.

Trzecim wreszcie czynnikiem, ograniczającym swobodny wybór drogi i możliwości działania polityki gospodarczej, jest spuścizna przeszłości.

Zanim się przystąpi do jakiejś pozytywnej, twórczej akcji, musi się przede wszystkim uprzątnąć przedpole. Jeśli przedpole to jest bardzo zaśmiecone, linia polityki gospodarczej może ulec całkowitemu zniekształceniu. Przy niekorzystnej spuściźnie trudności z przestawienia polityki gospodarczej na nowy, śmielszy tor, mogą być tak znaczne, iż pewne działania siłą faktu odsuwają się aż do następnego cyklu koniunkturalnego i że co gorsza staje się nieuchronne podejmowanie działań, które w danej fazie koniunktury teoretycznie są niesłuszne. — Przykłady? — W tej chwili np. silnie kwestionowane jest wzmaganie tempa działań inwestycyj publicznych. W zasadzie słusznie. Właściwa pora dla tych inwestycyj to kryzys. —No tak, ale skoro w kryzysie na skutek panującej wówczas doktryny zrzekliśmy się najniezbędniejszych wówczas inwestycyj, inwestycyj których z przyczyn poza - gospodarczych nie sposób odłożyć, to czyż można postępować inaczej, mimo, że niewątpliwie inwestycje dokonywane dziś są droższe, eksploatacja ich rozpocznie się w przededniu czy w chwili kryzysu, że nawet pogłębiać będą mogły kryzys? Inny przykład: Napewno okres poprawy koniunkturalnej nie nadaje się do przyśpieszenia procesów likwidacyjnych. Już choćby psychologiczny wpływ „czyszczenia buchalterii gospodarstwa narodowego" jest ujemny, nie sprzyja optymizmowi, stanowiącemu przecież jeden z warunków poprawy. Ale czy można odwracać ten proces, czy można w najbliższym kryzysie zakumulować, że się tak wyrazimy, skutki dwóch kryzysów?

Bez wątpienia możnaby wymienić jeszcze spory zespół czynników hamujących swobodę ruchów polityki gospodarczej, zmniejszających możliwości działania tej polityki. Sądzę jednak, że już przytoczone wyżej momenty wystarczają dla stwierdzenia, że skala ambicji, skala zadań, jakie stawiać sobie może polityka gospodarcza, nie jest czemś dowolnym. I dlatego mimo, że niewątpliwie nasza sytuacja geo-polityczna i nasza wewnętrzna sytuacja gospodarcza nakazują nam stawianie sobie ambitnych zadań w polityce gospodarczej, mimo tego iż optymizm i wola są twórczymi elementami w polityce gospodarczej, narastanie ambicyj w tej polityce, nastawienie jej na zadania dalsze i śmielsze, następować może tylko stopniowo.

---

**Do numeru niniejszego załączamy dla Prenumeratorów, jako bezpłatną premię, broszurę p. t. „Warunki i drogi rozwoju gospodarczego wsi polskiej" — Grzegorza Turowskiego.**

HENRYK PNIEWSKI

# RENTY STARCZE

*Wydaje się wskazane obniżenie wieku starczego, uprawniającego do pobierania renty starczej, jednakże obniżka nie powinna być nadmiernie silna i należy ją zróżnicować wedle gałęzi przemysłu.*

Walka z bezrobociem polegać powinna m. inn. na wielopostaciowej interwencji państwa. Potrzebę interwencji wielopostaciowej nie trudno w tym wypadku uzasadnić, wchodzą tu w grę dwa motywy:

a) niedostateczny ilościowo efekt każdego ze sposobów interwencji (nawet pod założeniem, że dany sposób jest niezawodny),

b) zawodność każdego ze sposobów, ponieważ każdy z nich opiera się tylko na prawidłowościach statystycznych.

Racjonalna walka z bezrobociem wymaga więc zastosowania szerokiego zespołu środków (obniżenie wieku, uprawniającego do pobierania rent starczych, przedłużenie lub przesunięcie okresu przymusowego nauczania powszechnego, skrócenie czasu pracy, no i oczywiście organizowanie wielkich, a przede wszystkim celowych robót publicznych itd.). W artykule niniejszym zajmiemy się jednak tylko sprawą rent starczych. Działanie rent starczych (obojętne z naszego punktu widzenia, czy są one wypłacane z tytułu ubezpieczenia społecznego czy też mają charakter zaopatrzenia wypłacanego z funduszów publicznych) na rynek pracy polega przede wszystkim na tem, że starcy, mając zapewnione minimum egzystencji opuszczają warsztaty pracy, zwalniając miejsce, które zajmują bezrobotni, zwykle młodzi bezrobotni. Obniżając t. zw. „wiek starczy" t. j. wiek, uprawniający do pobierania renty starczej (np. z 65 lat na 60 lat) wzmagamy wyżej scharakteryzowane oddziaływanie rent starczych na rynek pracy. Ta właśnie okoliczność jest zwykle wysuwana jako zasadniczy argument za obniżeniem wieku starczego. Przeciwko takiej reformie ubezpieczeń społecznych, czy zaopatrzeń społecznych jest z reguły wysuwany argument, dający się streścić w słowach „nie stać nas na to".

Sądzimy, że cały problem jest dość skomplikowany, i że jego przedyskutowanie nie może, a raczej nie powinno być ograniczone do wyżej wspomnianego argumentu i kontrargumentu.

Załóżmy, że obniżamy wiek starczy (np. w ubezpieczeniu emerytalnym robotników przemysłowych) lub wprowadzamy system rent starczych dla robotników rolnych (poza województwami zachodnimi nie mamy dotychczas ubezpieczenia emerytalnego robotników rolnych). Załóżmy dalej, że zwiększone w ten sposób wydatki pokrywane będą z funduszu płac (np. w drodze powiększenia, czy wprowadzenia składki społeczno - ubezpieczeniowej od zarobku). Jaki wywołamy wówczas efekt w zakresie obciążeń społecznych? Zaobserwujemy pewien wzrost obciążeń, na który złożą się dwa czynniki:

($A_1$) wzrost wydatków na renty starcze,

($A_2$) wzrost wydatków administracyjnych, ubezpieczeń społecznych lub urządzenia analogicznego.

Oczywiście, kwota ($A_1$) będzie wielokrotnie wyższa od kwoty ($A_2$). Należy jednak zauważyć, że równocześnie z tymi obciążeniami pojawią się pewne, że tak powiemy „odciążenia" zarówno budżetów publicznych, jak i prywatnych, wchodzą tu w grę kwoty następujące:

($B_1$) zmniejszenie wydatków na zasiłki dla bezrobotnych (dla tych mianowicie, którzy skutkiem zwiększenia zakresu rencistów-starców znajdą zatrudnienie w warsztatach pracy),

($B_2$) zwiększenie wydajności robotnika w warsztatach pracy (znany efekt tzw. „odmłodzenia załogi"),

($B_3$) zmniejszenie obciążeń prywatnych na rzecz bezrobotnych nie pobierających zasiłków, lub pobierających zasiłki niedostateczne, nie zapewniające minimum egzystencji.

Ad ($B_3$) zauważyć należy, że wielu bezrobotnych znajduje się na utrzymaniu swych rodzin, niejeden żyje z ofiar wyżebranych, lub... kradzieży. Niech nam tu będzie wolno wtrącić pewien przykład konkretny niemal, czytelnik zechce wybaczyć jego anegdotyczny charakter. Po konferencji w pewnym Ministerstwie jeden z przedstawicieli przemysłu, młody prawnik opowiadał z zapałem urzędnikom ministerialnym, jak dobrze została zorganizowana w jego gminie akcja pozaustawowej opieki nad bezrobotnymi (firma, którą reprezentował, brała w tej akcji żywy i bezinteresowny udział). Opowiadał szczegółowo o opiece udzielanej bezrobotnym i zakończył opowiadanie z całym spokojem „no i w dodatku bezrobotni kradną z pola kartofle, które łącznie ze świadczeniami naszego komitetu napewno już nie pozwolą im umierać z głodu". Ten młody prawnik rozumiał społeczną konieczność kradzieży w tych warunkach.

Umiemy na ogół biorąc zdawać sobie sprawę z rzędu wysokości kwoty ($B_1$). Nie tak trudno kwotę tę oszacować, opierając się na publikowanych danych oficjalnych. Gorzej już zdajemy sobie sprawę z bardzo poważnej wysokości kwoty ($B_2$) i z jej związku z procesami racjonalizacji. Najmniej orientujemy się w wysokości kwoty ($B_3$), odgrywającej zapewne wcale znaczną rolę w gospodarstwie narodowym.

Zauważmy teraz, że kwoty:

$$(A_1),\ (A_2),\ (B_1),\ (B_2)\ \text{i}\ (B_3)$$

traktować możemy jako *funkcje* (w matematycznym a nie fizjologicznym słowa tego znaczeniu) obniżki wieku starczego.

Wyobraźmy sobie, że wprowadzamy jakąś obniżkę wieku starczego (np. o rok tj. z 65 lat na 64 lata), a następnie, że obniżka ta wzrasta (tj. kolejno przyjmuje wartości: 2 lata wieku w dół, 3 lata wieku, 4 lata wieku itd.), wówczas:

1) kwoty ($A_1$) oraz ($A_2$) rosną,

2) kwoty ($B_1$) oraz ($B_3$) również rosną.

Innymi słowy odbywa się pewna korzystna pod względem *kierunku* (nie wiemy jednak, czy co do salda) zmiana w podziale dochodu społecznego. Rosną wprawdzie wydatki na renty dla weteranów pracy i związane z tymi wydatkami świadczeniowymi wydatki administracyjne, ale równocześnie maleją wydatki na zasiłki dla młodych bezrobotnych i prywatne świadczenia (głównie rzeczowe) na rzecz tych bezrobotnych.

Kwoty ($A_1$) i ($A_2$) tj. pewne wzrosty obciążeń i kwoty ($B_1$) i ($B_3$) tj. pewne obniżki obciążeń są, jak już stwierdziliśmy, funkcjami rosnącymi obniżki wieku starczego. Znacznie bardziej skomplikowaną funkcją zniżki wieku starczego jest kwota ($B_2$). Jeżeli będziemy obniżać wiek starczy, czyli jeżeli, pedantycznie się wyrażając (co jest w danym wypadku niezbędne), będziemy *zwiększać obniżkę* wieku starczego ,to wówczas wzrost wydajności załogi będzie coraz silniejszy, ale tylko do pewnego punktu zwrotnego. Jeżeli obniżkę wieku posuniemy zbyt daleko, to wówczas wzrost wydajności załogi załamie się, gdyż miejsca doświadczonych i zdatnych do pracy robotników w załodze zaczną zajmować młodzi i niedoświadczeni. Innymi słowy kwota ($B_2$) jest funkcją początkowo rosnącą obniżki wieku, po pewnym zaś punkcie zwrotnym (tj. po przekroczeniu pewnej obniżki wieku) staje się funkcją początkowo może stałą, a może odrazu malejącą obniżki wieku.

Można by się zastanowić nad wartością owego punktu zwrotnego. Nie potrafimy tu, rzecz prosta, podać jego wartości cyfrowej. Jedno natomiast możemy z góry stwierdzić, że wartość cyfrowa (np. obniżka 3-letnia, czy 5-letnia w stosunku do punktu wyjściowego 65 lat) jest niewątpliwie zależna od branży. Szczegółowsze rozważania wykazałyby również, że wartości pozostałych kwot wyżej rozpatrywanych zmieniają się w zależności od wieku w sposób różny w rozmaitych branżach. Co więcej gdybyśmy posunęli analizę dalej okazałoby się, że w grę wchodzić powinien nie tylko zawód obiektywny, ale i subiektywny robotnika.

Nie kusząc się o rozwiązanie wysoce trudnego problemu w ramach skromnego artykułu poprzestajemy tu na stwierdzeniu, że interesujące nas saldo:

$$[(A_1) + (A_2)] - [(B_1) + (B_2) + (B_3)]$$

przybiera wartości różne w zależności od zastosowanej obniżki wieku i w zależności od branży, której dotyczy. Wydaje się ponadto rzeczą prawdopodobną, że przy odpowiednio dobranej (nie zbyt daleko posuniętej) obniżce wieku, *zróżnicowanej* wedle przynajmniej podstawowych gałęzi gospodarstwa narodowego saldo to może mieć wartość *nie* dodatnią (zerową lub nawet ujemną), co jest właśnie pożądane.

Być może, że niejednemu czytelnikowi wydadzą się powyższe rozważania nadmiernie zawiłe. W rzeczywistości są one nadmiernie uproszczone, pomijaliśmy bowiem dotychczas czynnik tak istotny, jak *wysokość* rent starczych. Jasnym jest, że kwota ($A_1$) jest funkcją rosnącą wysokości renty starczej, co więcej i kwota ($A_2$), jak na to zdaje się wskazywać praktyka, jest w przybliżeniu funkcją rosnącą wysokości renty starczej. Im większe renty płacimy, tem intensywniejsze będzie zjawisko zwane zwykle „naporem na renty", tem więc szczegółowsza a zatem i kosztowniejsza będzie kontrola uprawnień do renty. Ponieważ chodzi nam o to, aby rozpatrywane saldo obciążeń było jak najniższe, więc wysokość renty starczej należy ustalić na najniższym praktycznie dopuszczalnym poziomie. Co więcej, gdybyśmy mieli do dyspozycji pewną kwotę o danej wysokości globalnego wydatku na renty starcze, należało by z tego względu ustalić niski wymiar renty, aby można było wypłacać możliwie dużą liczbę rent.

Przy ustalaniu wysokości renty starczej wchodzą w grę obok wyłożonych wyżej względów również i kwestia minimum egzystencji oraz poczucia słuszności. Jeśli idzie o pierwszą z nich, to przede wszystkim zauważyć należy, że robotnik przemysłowy często może po przejściu na rentę zwiększyć jej siłę nabywczą przez przeniesienie się do tańszej okolicy, zwłaszcza na wieś, co jest możliwe dzięki bliskim związkom jakie do dziś dnia łączą znaczną część polskiego proletariatu miejskiego ze wsią. Wymiar renty niższy nawet znacznie od efektywnego zarobku nie obraża poczucia słuszności, gdyż wypłata renty nie wymaga pracy (przeciwnie powinna być uzależniona od wstrzymania się przez rencistę od pracy zawodowej.

Mówiąc wyżej o obniżeniu wieku starczego, a więc o pewnym powiększeniu wydatków na zaopatrzenia, czy ubezpieczenia społeczne założyliśmy, zgodnie z tradycją, że pokrycie tych wydatków obciąży fundusz płac. Nie ma konieczności czynienia takiej właśnie hypotezy. Możemy sobie wyobrazić inny zgoła system obciążeń. Można by się zastanowić czy pokryciem części, czy całości rent nie powinny być np. podatki od spożycia: „kto spożywa musi zarazem płacić za spożycie weteranów pracy" można by nawet i takie hasło rzucić. Nie twierdzimy jednak, że rzucić je należy.

Przy wprowadzaniu nowych obciążeń publicznych, a społecznych w szczególności, nawet wówczas, gdy wprowadza się obciążenie publiczne zastępujące obciążenia natury prywatnej, powstają, jak się zdaje, pewne objawy deflacyjne, pochodzące stąd, że ściągane od płatników kwoty pieniężnej zanim dotrą do rąk osób pobierających świadczenia, lub nim zostaną ulokowane na dłuższe terminy jako pokrycie rezerw technicznych podlegają quasi - tezauryzacji. Objawy deflacyjne mogą zresztą w tych wypadkach powstawać i z innych przyczyn, o których tu wspominać nie będziemy. Warto by zbadać rozmiar objawów deflacyjnych, występujących w okresie wprowadzania nowych obciążeń, ocenić czy objawy te posiadają doniosłość praktyczną, jeśli tak, to czy powinny być one zrównoważone przez zabiegi, działające w kierunku przeciwnym tj. zabiegi inflacyjne i jaka powinna być technika tych zabiegów.

ANDRZEJ REDŁOWSKI

# KARTELE W ORGANIZACJI EKSPORTU POLSKIEGO

*Kartele międzynarodowe są obecnie czynnikiem obniżającym poziom aparatury handlowej eksportu polskiego. Mogą zaś być czynnikiem podwyższającym ten poziom.*

Zagadnienie karteli było w ostatnich kilku latach bardzo aktualne w Polsce. Analizowano je głównie z punktu widzenia rynku wewnętrznego. Może nie mniejsze jednak znaczenie ma w życiu gospodarczym Polski udział przemysłu naszego w kartelach międzynarodowych.

Tutaj głównie interesowało publiczność zagadnienie, jaki procentowy udział zapewnia sobie przemysł polski w kartelach międzynarodowych; nie zastanawiano się jednakże nad tem, co się dzieje dalej z produktami polskimi, ujętymi w organizację kartelową, w jaki sposób i przez czyje pośrednictwo dostają się one do konsumenta zagranicznego. A jednak zagadnienie to jest dla gospodarki polskiej niezmiernie ważne.

Jest trudno stwierdzić ściśle do wielu karteli międzynarodowy przemysł polski należy Cyfra ta jest podawana różnie i ulega ona różnym wahaniom. Liczba 4. karteli międzynarodowych, do których Polska w r. 1919 należała, urosła na 97 w roku 1934, by w r. 1937 spaść na 88. W ostatnich latach ,udział Polski w syndykatach przemysłu metalowego spadł, — wzrósł natomiast w przemyśle chemicznym.

Większość karteli posiada centralne biura sprzedaży w krajach, w których kartele powstały, względnie w których jest największe nasilenie produkcji. Przykładowo można wymienić, iż sprzedażą polskiego kwasu siarkowego zajmują się biura sprzedaży w Niemczech, podobnie z benzolem polskim (Bensolvereinigung des Ostens w Berlinie) i kwasem karbolowym (fenolem), sprzedawanym przez biura sprzedaży Karbolsäure - Verkaufsgesellschaft w Berlinie. Parafina sprzedawana jest przez Asiatic Petroleum Co, w Londynie. Ałun chromowy, dwuchromian potasu, dwuchromian sodu sprzedaje I. G. Farbenindustrie w Berlinie, żelazo-krzem zaś — Ferrosilicium Gesellschaft w Wiedniu.

Kartele posługują się przy dystrybucji towarów utoryzowanemi europejskiemi firmami handlowemi, które rekrutują się przeważnie z dawnych zastępców fabryk, które przystąpiły do kartelów. Firmy te ze swej strony zatrudniają na rynkach zbytu swych agentów, którzy sprzedają towar miejscowym importerom.

Jak wiadomo, polskich domów eksportowych dotychczas prawie że nie mieliśmy. Nic więc dziwnego, że kartele międzynarodowe dystrybucję produktów przemysłu polskiego powierzały przeważnie firmom hamburskim i holenderskim.

Firmy, biorące udział w tej dystrybucji wiążą się ze swej strony często umowami regulującemi wzajemny zbyt. Typową jest pod tym względem organizacja rynku zaprowadzona przez Die Internationale Rohstahlgemeinschaft (I. R. G.). Zasady jej są następujące: Na odnośnym rynku, np. w Chinach, fabryki należące do I. R. G. tworzą pool, który wyznacza dla każdego agenta odpowiedni kontyngent sprzedażny, który nie może być przekroczony. Równolegle powstaje organizacja miejscowych kupców, obejmująca wszystkich importerów danego artykułu, którzy ze swej strony wyznaczają kontyngenty zakupów swoich członków, określają cenę sprzedaży poszczególnych artykułów i sposób kontroli. Obie te organizacje zapewniają sobie wzajemną wyłączność. Handel miejscowy, bez uprzedniej zgody I. R. G. nie ma prawa zakupywać towarów od outsiderów, wzamian za co ma zapewniony zysk na obrocie, przez system rabatów ilościowych i bonifikat.

Przy tym systemie staje się zrozumiałe, jak trudno jest nowo powstającym domom eksportowym polskim zapewnić sobie udział w sprzedaży skartelizowanych towarów, nawet pochodzenia polskiego.

Z polskiego punktu widzenia gospodarczego stan ten posiada szereg niekorzyści:

1) wynagrodzenie za dystrybucję wychodzi w całości zagranicę, otrzymują je bowiem zagraniczne domy handlowe, o tyle mniej dewiz wpływa do Polski.

2) przemysł polski nie ma bezpośredniego kontaktu ze swoimi odbiorcami i nie jest zorientowany o tendencjach rynkowych, o zmianach w zapotrzebowaniu, w ilościach, itp.

3) nie wytwarza się u odbiorców zainteresowania w forsowaniu polskich towarów; często nie mają oni świadomości, że kupują polski towar, natomiast spotyka się często, iż agenci niemieccy żądają od kartelów towarów niemieckich, czy to z pobudek patriotycznych, czy też ze względu na dodatkowy zysk, jaki przynosi im, przy towarze niemieckim, możność płacenia Aski-Markami.

4) nie mogą powstać w Polsce kadry fachowców branżowych, specjalizujących się w poszczególnych rynkach zamorskich.

5) wreszcie, na wypadek rozbicia się kartelu międzynarodowego, przemysł polski pozbawiony jest własnego aparatu dystrybucyjnego zagranicą. I to

ostatnie zagadnienie jest może najważniejsze. Gdy przed kilku laty rozbił się kartel rur, okazało się, że wszyscy agenci tego kartelu stali się nagle agentami Mannesmanna, tak, jak byli nimi przed zawiązaniem kartelu. Przemysł nasz musiał znacznemi ofiarami wywalczyć sobie miejsce pod słońcem i w ostrej walce konkurencji tworzyć sieć własnych agentów.

Sytuacja, powstająca w razie rozbicia się kartelu międzynarodowego, ukazuje w sposób jaskrawy złe skutki uzależnienia wywozu od skartelizowanego obcego aparatu dystrybucyjnego. Jednakowoż te same złe skutki, w mniej jaskrawych formach, działają również w czasie trwania kartelu. Wiadomem jest, że nasz przemysł skartelizowany w wielkiej swej części należy do kapitału obcego. Wpływać to musi — i wpływa — na dyspozycje jego kierowników. Istnieją liczne urządzenia polityczno-gospodarcze dostosowujące te decyzje do potrzeb i warunków gospodarstwa narodowego. Jednak urządzenia te dotyczą głównie działań przemysłu na rynku wewnętrznym. Na rynkach zagranicznych zagraniczni właściciele przedsiębiorstw polskich w znacznie słabszym stopniu liczyć się potrzebują z interesami gospodarstwa polskiego. Spotykamy się z wypadkami, że interesy zagraniczne polskich przedsiębiorstw są poświęcane na dobro przedsiębiorstw konkurencyjnych, pracujących w innych krajach, lecz podległych tym samym dysponentom. Tego rodzaju niepożądanym metodom kapitału obcego, istniejące u nas urządzenia polityczno-gospodarcze tylko z dużym trudem mogą się przeciwstawić, gdy również aparatura handlowa eksportu jest w obcych rękach. Poprostu brakuje wówczas elementów do dobrej oceny stanu faktycznego rynków zbytu i istniejących możliwości. — Włączenie przeto polskich domów eksportowych do aparatury dystrybucyjnej karteli międzynarodowych, oznaczałoby poważny sukces na drodze skutecznego przeciwstawiania się takim dyspozycjom kapitału obcego, które kolidują z interesami polskiego gospodarstwa narodowego.

Zarówno zatem w interesie ogólnej gospodarki, jak nie mniej w interesie poszczególnych fabryk leży, ażeby wciągnąć polskie domy eksportowe i ich zamorskich agentów do organizacji dystrybucyjnej poszczególnych karteli międzynarodowych.

Starania o to muszą być robione oczywiście przez zainteresowane firmy handlowe i tutaj już pewne rezultaty zostały osiągnięte, tak np. w wyrobach hutniczych, ferrosilicium, parafinie, itp.

Jeślibyśmy jednakże ograniczyli naszą ekspansję do tych odosobnionych wysiłków, to postęp byłby zbyt powolny. Musimy się domagać, ażeby przemysł sam, przy układach kartelowych, stawiał postulat uwzględnienia polskich firm w dystrybucji na rynkach, które nas najbardziej interesują. Zagadnienie to jest tak ważne, iż również rządowe czynniki nadzorcze, których aprobata jest prawie zawsze uzyskiwana przed przystąpieniem do karteli, powinny badać czy i w jakim stopniu postulat ten został uwzględniony.

Podkreślić przytem wypada, że waga zagadnienia, o którym mowa, jest większa, niżeliby na to wskazywały rozmiary eksportu objętego umowami międzynarodowemi. Sprawę tę można uważać za jeden z kluczowych problemów w całokształcie zagadnień związanych z ulepszeniem aparatury naszego handlu zagranicznego. Sytuacja jest mianowicie tego rodzaju, że wśród różnych posunięć polityczno-gospodarczych, czynionych dla ulepszenia aparatu wykonywującego handel zagraniczny — objęcie przez własny handel wywozu skartelizowanego jest jednym z najbardziej pilnych, a pomyślne rezultaty osiągnięte w tym zakresie wywarłyby bardzo doniosły wpływ na inne posunięcia z tej samej dziedziny.

Potrzeba oddania możliwie dużej części eksportu w ręce organizatorów *handlowych*, specjalizujących się w tym zakresie, jest niewątpliwa. Eksport wykonywany bezpośrednio przez producenta, w warunkach polskich dominujący, ma te ujemne cechy, że zbyt łatwo zanika w okresie dobrej koniunktury wewnętrznej i zbyt słabe wykazuje zdolności penetracyjne na rynkach trudnych i mało pojemnych. Dla stwierdzenia tej prawdy potrzebne nam były lata przykrych doświadczeń. Obecne tendencje i administracji gospodarczej i przedsiębiorców idą wyraźnie po linii rozwijania domów eksportowych.

Trudności, nastręczające się w tych pracach oznaczają — mówiąc najbardziej ogólnie — trudność zgromadzenia kapitału doświadczenia, kontaktów rynkowych, pomyślnego wykonania tych licznych i różnorodnych działań, jakie są konieczne dla trwałego usadowienia się na rynku obcym. Młody polski dom eksportowy musi „płacić frycowe", na co nas niebardzo stać. — Przeto szczególną wartość muszą mieć dla nas obecnie te działy wywozu, które, objęte działalnością domu eksportowego, wymagają małego „frycowego" i w kalkulacjach wewnętrznych firmy mogą się stać elementem mniej więcej stałym, ułatwiającym zajmowanie się towarami przez „frycowe" obciążonymi.

Jak wynika z cytowanych wyżej schematów organizacyjnych, właśnie wywóz towarów międzynarodowo skartelizowanych jest zorganizowany sztywno, nie zawiera w sobie poważniejszych niespodzianek, krótko mówiąc jest stosunkowo łatwy i pewny. Jest to zresztą okoliczność ściśle i zawsze wiążąca się ze skartelizowaniem zbytu. Stwierdzić więc trzeba, że danie polskim domom eksportowym udziału w dystrybucji zagranicznej towarów skartelizowanych — oznaczałoby stworzenie dla nich szczególnie ważnego i cennego elementu rozwojowego i odegrałoby rolę czynnika pobudzającego ich działalność na innych odcinkach.

# UWAGI

## PLAGIAT

U nas dzisiaj nikt nie wie do jakiego stopnia obowiązuje go własna myśl i nie chce tego wiedzieć. Nie wierzymy na ogół również i w to, żeby w Europie myśl obowiązywała ludzi. Dlatego Polska dziś nie trawi ani własnej kultury ani obcych wpływów, co najwyżej wchodzi w różne chemiczne związki. Niezdolność do trawienia obcych wpływów na własny użytek powoduje obawę przed tymi wpływami i nierozumienie tego co się dzieje w Europie.

Europejska współczesna dziejowa rzeczywistość traktowana jest dziś przez umysły polskie nie jako pewien zdobyty, ustalony poziom życia, nie jako dzieło wielowiekowej pracy, wymagającej zrozumienia i szacunku, nie jako coś rzeczywistego i niezaprzeczalnego przede wszystkim, ale jako pewien gatunek moralnego lub umysłowego błędu, jako złudzenie, przemijający pozór. Takie jest nasze stanowisko wobec faszyzmu, hitleryzmu, rooseveltyzmu, faktu regulowanego pieniądza w Imperium Brytyjskim wraz z blokiem sterlingowym, w U. S. A. i Francji, a więc w połowie całego i trzech czwartych cywilizowanego świata. Usiłujemy uwolnić się od konieczności rozumienia dokonywujących się w naszych oczach wielkich dziejowych przeobrażeń i od narzucających się nam z siłą nakazu postulatów szerokiego i pogłębionego życia — negując to życie.

Jeżeli jednak mówimy, że Europa jest błędem, że te wymagania, z jakimi się zwraca dzisiejsze europejskie środowisko kulturalne do każdej jednostki pragnącej żyć świadomym życiem, są nieuzasadnione, że działają nie wychowawczo, jeżeli piętnujemy czy to jako totalizm, czy odstępstwo od niewzruszonych zasad klasycznej ekonomii, to powinniśmy sobie postawić pytanie: jeżeli Europa nie jest dziś pewnym fundamentem dziejowym, to na czem opieramy my swoją wiarę w przyszłość?

Wszechświatowy rozwój ekonomiczny stwarza warunki wśród których żyć *musi* każdy pragnący istnieć samoistnie naród. Podołać zaś temu zadaniu dany naród potrafi jedynie wtedy gdy przystosuje swą psychologię do określonych przez dzisiejszy moment dziejowy wymagań, jeżeli ze swej historycznej psychologii uczyni siłę sprzyjającą przetworzeniu go w samoistny, utrzymujący się o własnych siłach w *nowoczesnym* środowisku wszechświatowym ekonomiczny organizm. Ideałem jednak ogromnej części naszego kulturalnego społeczeństwa jest taka ekonomiczna struktura Polski, jaka odpowiadałaby środowisku europejskiemu z przed lat stu.

My bowiem przyzwyczailiśmy się uważać nowoczesną kulturę jako rezultat. Rezultat, z którego możemy brać tyle ile nam potrzeba dla naszych zredukowanych, przykrojonych na upokarzającą nieletnią miarę potrzeb, potrzeb społeczeństwa nie władającego w pełni samym sobą i potrzeb jednostek, czyniących ze swych dziejowych aspiracyj niemal wyłącznie indywidualny użytek.

Dlatego nie umiemy myśleć o kulturze jako o wielkim zbiorowym dziele, nie czujemy jej od tej czynnej jej strony. Sądzimy, że gdy poprzestajemy na pewnych jej stronach, a odrzucamy inne, to dowodzimy tem samem swej wyższości i swej swobody wobec przeobrażeń kulturalnego i ekonomicznego oblicza Europy. Każdy to robi według swego gustu. Jeden chce totalizmu politycznego z zachowaniem liberalizmu ekonomicznego, drugi pragnie gospodarki planowej i demoliberalnych form politycznych. I nazywają te zlepki z przeciwstawnych i z różnych okresów rozwoju Europy pochodzących fragmentów europejskiej kultury — polską syntezą. Nie możemy wżyć się w głęboki tragizm tej prawdy, że nasze dzisiejsze życie wśród europejskiego środowiska jest rzeczywiste, że nie uda się nam nigdy ani powstrzymać nieustannego narastania i potęgowania się europejskiego środowiska, ani uczynić nie istniejącemi tych zmian, jakie pod jego wpływem u nas zachodzą. Myślimy o samych sobie niehistorycznie i tę naszą niehistoryczność przenosimy do naszych poglądów na inne społeczeństwa. Nie umiemy wyczuć w nich tej zbiorowej samoistnej woli, którą w nas zabijano przez lat sto pięćdziesiąt. Przeciwstawiamy ich życiu naszą przymusową niedojrzałość i jedną z najgłębszych i najtajniejszych sprężyn naszego umysłowego życia jest nieuświadomione dążenie przedstawianie tej niedojrzałości jako wyższości. Pouczanie Europy o niebezpieczeństwie zarzucania metod klasycznej ekonomii, od lat trwające przepowiednie załamania się t. zw. eksperymentów — sowieckiego, faszystowskiego, hitlerowskiego, wielki jubel z powodu każdego fragmentarycznego niepowodzenia w kształtowaniu swych losów przez narody, które podjęły świadomie i zbiorowo ten trud, oto płody myśli polskiej na tym polu. I cóż z tego, że przepowiednie nie sprawdzają się. Zysk przecież jest — utrwalamy bowiem i systematyzujemy własne swe niewyrobienie dziejowe. I wszystkie te negacje Europy bezwiednie lub świadomie dążą do tego, by usprawiedliwić odczuwaną przez daną jednostkę niedojrzałość woli i myśli, zwykłą ignorancję itp. cechami wyższości.

I to jest straszliwe. Podczas gdy jesteśmy coraz szczelniej wciągani w mechanizm ogólnej europejskiej kultury ekonomicznej, podczas gdy psychika nasza zmienia się pod czysto mechanicznym uciskiem, bezładnym i chaotycznym oddziaływaniem europejskiego środowiska, — sami przed sobą okłamujemy się, że zachowujemy wobec Europy jakieś zabezpieczające nas uprzywilejowane stanowisko. My z góry patrzymy nie tylko na komunizm, ale i na faszyzm i na hitleryzm i na rooseveltyzm, bo my mamy „nasz polski narodowy nacjonalizm" (dosłownie), różne zdrowe odruchy, mniej zdrowe rozruchy i... żadnego ruchu umysłowego. W ten sposób Polska staje się psychicznym zaciszem w którym się odpoczywa po trudach europejskiej kultury. Kultura jest u nas stanem indywidualnej psychiki, a nie zbiorową, wytężoną pracą narodu, jak się to dzieje w Europie, pracą, która więcej czuje swój wysiłek, niż swe nieustanne zwycięstwo.

I nie widzi się, że w ten sposób coraz bardziej staje się prawdą, iż nie my posiadamy kulturę europejską, ale ona nas posiada, działa na nas z zewnątrz chemicznie, my zaś jako coś własnego posiadamy bierność, bezwład, nieprzystosowanie, niezdolność do wielkiego zespołowego wysiłku (bo to panie dzieju komunizm) i usiłujemy dowieść, że poza tem wszystkim kryje się jakaś głęboka tajemnica narodowa. Życie, dokonywujące się w społeczeństwie, nieustanne przeistaczanie się zbiorowej psychiki narodu polskiego, stanowi nie treść ale tło życia naszych „sfer kulturalnych". Jedni ufają temu procesowi, inni go oceniają negatywnie, trzeci uważają, że ich bierność wobec tych procesów jest wyrazem swobody i niezależności myśli. Nie zmienia to istoty rzeczy: nie uznajemy w naszym własnym rzetelnym poczuciu samych siebie za odpowiedzialnych członków europejskiej grupy narodów, nie czujemy i nie myślimy o sobie jako o samoistnej dziejowej jednostce. Dla naszej świadomości nasz udział w kulturze europejskiej przedstawia się jedynie jako udział w wystawie międzynarodowej, konkursie choreograficznym, meczu sportowym. Nasz udział manifestuje się więc jako reprezentacja, rzadko jako współdziałanie, nigdy, — jako spółtwórstwo.

Trzeba zrozumieć, że Europa to nie jest pojęcie geograficzne, lecz pewien poziom życia. Kto nie zdoła żyć na nim, zrośnie się z niższemi formami życia, stanie się dziejowym materiałem, nie twórcą. Nie wystarczy tu ani hodowla „reprezentantów kulturalnych", ani wyniosła krytyka, ani lekceważąca niechęć do różnych, zwykle powierzchownych objawów głębokich procesów społecznych, zachodzących w Europie. *Bo nie to, czego nie chcesz, lecz jak umiesz chcieć, nie, od czego się uchylasz, ale co tworzysz, jak i co budujesz i co o twoich budowach sądzi wiecznie obecna i coś swojego tworząca pozaludzka noc — oto są zagadnienia.*

*Popełnił r. s.*

## SCHACHT

Nie chodzi nam o osobę dr. Hjalmara Schachta, odgrywającego tak kapitalną rolę w gospodarstwie niemieckim w ciągu ostatnich lat, a przez to samo już w całym gospodarstwie światowym. Ustąpienie tego niewątpliwie znakomitego ekonomisty i polityka gospodarczego ze stanowiska ministra gospodarstwa narodowego Rzeszy i ograniczenie go (czy na długo?...) do roli prezesa Reichsbanku, które to stanowisko zresztą w obecnych niemieckich warunkach bynajmniej nie daje takich prorogatyw, jakie posiada np. p. Montagu Norman w Banku Angielskim, jest bezsprzecznie sensacją zarówno polityczną jak i gospodarczą. Ale nie to nas w tej chwili interesuje. Dla nas p. Schacht jest przykładem posuniętego niemal do granic genialności ducha kompromisu w polityce gospodarczej. I jego detronizacja daje nam jeszcze jeden dowód, iż w pewnych warunkach nawet, jak powiadamy, najgenialniejszy kompromis musi ulec przemocy brutalnych wymagań rzeczywistości.

P. Schacht kierował gospodarstwem III-ej Rzeszy w ten sposób, iż, dając nawewnątrz pełne zadośćuczynienie potrzebom ogólno-politycznym rządu narodowo-socjalistycznego (likwidacja bezrobocia, wzmożenie potencjału wojennego Rzeszy itd. itd.), starał się jednocześnie nie palić za sobą mostów — nazewnątrz. Na pierwszy rzut oka mogłoby się to wydawać dziwne, zważywszy, iż on to właśnie usankcjonował fundamenty „default'u" Niemiec jako dłużnika zagranicy, zamknął gospodarstwo niemieckie w żelazną obręcz autarkii, utkał kunsztowną niesłychanie sieć kontaktów tego gospodarstwa z zagranicą, sieć nie mającą sobie równej na całym świecie, i naraził się przez wszystkie te posunięcia (i trochę, może, przez swój osobisty charakter...) całej „wielkiej" opinii międzynarodowej w dziedzinie gospodarczej i finansowej. A przecież był on ciągle jeszcze mediatorem. Jeśli — w braku jego oficjalnych i szczerych wynurzeń — przyjmiemy (jak nam każą wierzyć) enuncjacje berlińskiego „Der deutsche Volkeswirt" jako w dużej mierze poglądy niemieckiego dyktatora gospodarczego ostatnich lat, można w nich wyczytać — w wierszach i między wierszami — wyraźną troskę, aby mimo wszystkich tych poczynań,jakie w ciągu ostatnich lat oderwały gospodarstwo niemieckie od rynku międzynarodowego, pewien określony kontakt został mimo wszystko utrzymany. Nie mógł by to już być, chwilowo, kontakt ściśle materialny, bo zakres niemieckiej reglamentacji dewizowej go absolutnie wyklucza, ale kontakt — użyjmy tego wyrażenia — raczej natury „moralnej". Chodziło poprostu, aby w owych Niemczech odgrodzonych nieprzebytą barierą od kapitalizmu światowego zachowało się — mimo wszystko — możliwe maximum instytucji tego właśnie kapitalizmu. Można by sobie z niedopowiedzeń, aluzji i metafor dr. Schachta wysnuć jego wewnętrzne pragnienie utrzymania gospodarstwa niemieckiego w takim stanie, aby mogło ono wejść z powrotem do obrotu międzynarodowego po zastosowaniu wyłącznie techniczno - gospodarczych posunięć, o ileby się na nie zdecydować miano. Innymi słowy, starał się p. Schacht zawsze, aby z „wojenno-gospodarczych" instytucji — tak obfitych zresztą w Niemczech — wprowadzano w życie tylko te, które są niezbędne dla utrzymania równowagi całego gospodarstwa narodowego, pomijając te wszystkie, które by służyły jakimkolwiek innym celom niż doraźnie koniunkturalnym. Można powiedzieć w skrócie, iż p. Schacht był zawsze „autarkistą koniunkturalnym" — bez jakichkolwiek odcieni ideologicznego nowatorstwa. A że rozmiary autarkii niemieckiej stały się za jego rządów tak wielkie, wynika to wyłącznie z ogromu zadań koniunkturalnych, jakie na barki kierownika gospodarczego Rzeszy włożyło jej kierownictwo polityczne i wojskowe.

W tej pracy kompromisowo-koniunkturalnej był p. Schacht uznanym powszechnie mistrzem. Można było się też spodziewać, iż technika rozwiąże w jego osobie wszystkie zadania, przed którymi stoi gospodarstwo Rzeszy — i że ten obcy zgoła dla prawowiernego narodowego-socjalizmu człowiek stanie się

bohaterem polityki gospodarczej całego ruchu. Czyż nie wskazywało na to usunięcie zaraz w pierwszych okresach władzy Hitlera ze wszystkich decydujących stanowisk polityczno-gospodarczych ludzi, którzy jako związani niepodzielnie z samym ruchem hitlerowskim dostali się na stanowiska te zaraz po przewrocie? Czyż osoba takiego np. Federa, którego przed przewrotem mianowano już moralnie kierownikiem polityki gospodarczej III-ej Rzeszy, a którego wpływ został odrazu zahamowany na korzyść zasięgu władzy p. Schachta, nie dowodziła, iż i Hitler i cały rząd Rzeszy nie decyduje się jednak w pełni na zerwanie z gospodarczą tradycją kraju?

Niemniej jednak p. Schacht ustępuje.

Jeśli najwyższa decyzja kierowników losów danego kraju wybiera dla jego rozwoju jakąś drogę polityki gospodarczej, musi zdawać sobie ona przedtem sprawę, iż wykorzystanie wszystkich dodatnich cech każdej polityki zależeć musi zawsze od stopnia zaangażowania się w nią danego organizmu. Pod tym względem liberalizm i autarkia nie różnią się od siebie zupełnie. Jeśli dany kraj ma iść po linii polityki liberalizmu, powinien on — o ile się tylko da — trzymać się tej linii możliwie jaknajbliżej. Wszelkie silniejsze odchylenia grożą odrazu utratą korzyści, jakich polityka ta może przysporzyć. I odwrotnie: jeśli w pojęciu kierowników polityki gospodarczej danego kraju liberalizm nie nadaje się do stosowania, autarkia powinna być przeprowadzona w ten sposób, aby wyciągnąć z niej *wszystkie* konsekwencje dla całokształtu struktury gospodarczej kraju. Albowiem tylko wówczas dać ona może w wyniku osiągnięcie tych celów, dla których zdecydowano się na tę, tak skądinąd niepopularną w wielu opiniach drogę. P. Schacht, jak mówiliśmy, usiłował do ostatnich czasów mostów za sobą nie palić. Ale oto nadchodzi widocznie moment, kiedy zahamowanie rosnących tendencyj autarkistycznych w Niemczech grozi utrudnieniami dla całego planu. Technika i geniusz finansowy mogły przez dłuższy czas wypełniać rozbieżność celów i metod. W pewnej chwili rozbieżność ta staje się nie do pogodzenia. Aby wykonać zadania, jakie Niemcy wzięły na żyjące obecnie pokolenie, dalsze brnięcie w autarkię i etatyzację życia wewnętrzno-gospodarczego staje się nieuniknione. Tylko na tej drodze wynik ostateczny może się opłacić. I oto jesteśmy świadkami, jak ideologia przełamuje technikę, jak ruch — bez względu na to czy objektywnie słuszny czy niesłuszny — nie daje się zatrzymać żadnymi kunsztownymi hamulcami i... jak twórca „nowego planu" z 1934 r. musi kapitulować przed jeszcze „nowszym" planem 1938-ego czy jakiegoś z lat następnych.

*e. f.*

## POWSZECHNY SPIS ROLNY

Społeczeństwo rolnicze może już chyba oczekiwać, że w niedługim czasie dostanie zaproszenie na uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach pierwszego powszechnego spisu rolnego.

Sprawa realizacji spisu wchodzi na realne tory z chwilą powołania przed niedawnym czasem w Głównym Urzędzie Statystycznym specjalnej komisji do prac przygotowawczych. Poprzedzone to zostało dość powszechnym głosem opinii rolniczej. Co prawda wieloletnia historia inicjatywy spisu rolnego, wykazuje, że sprawę tę podnoszono i rozpoczynano już parokrotnie a jednak do końca nie doprowadzono. Należy jednak wierzyć, że teraz coś z tego naprawdę wyniknie i dlatego mówimy o początku realizacji.

O potrzebie spisu wszyscy właściwie są przekonani, od szeregu lat zarówno nauka jak i praktyka rolnicza, stale odczuwają narastające braki materiałowe, na które może dać odpowiedź tylko spis. Stwierdzenie braków kończy się jak zwykle dotąd narzekaniem i ubolewaniem po czem następują mniej lub więcej dokładne badania zastępcze w oparciu o szacunki i prowizoria z wynikiem przeważnie dalekim od ścisłości. Gdybyśmy mogli obliczyć ile te wszystkie prowizoria kosztowały w sensie bezpośredniego wydatkowania gotówki lub pracy ludzi odrywanych od innych zajęć oraz szkód z powodu niedokładności prowizoriów, to chyba w dużym stopniu koszty spisu byłyby pokryte.

W dziedzinie organizacji spisu rola społeczeństwa rolniczego dotyczyć powinna przede wszystkim dwóch odcinków: zakresu spisu i współdziałania w organizacji aparatu spisowego.

Zakres spisu będzie w dużym stopniu równoznaczny z wytyczeniem granic w jakich mamy zamiar poznać stosunki rolnicze. Skład aparatu spisowego zadecyduje w znacznym stopniu o wartości zebranych materiałów.

Pierwszy powszechny spis rolny ma przed sobą dwa zadania. Po pierwsze dostarczyć materiałów, których w ogóle dziś brak lub które zastępowane są doraźnymi szacunkami. Po drugie — dać podstawy i sprawdzić ścisłość bieżącej statystyki rolniczej, która coraz bardziej nie znajduje oparcia w konkretnym materiale podstawowym.

Zakres spisu to, jak podkreśliliśmy, jeden z zasadniczych elementów prac okresu przygotowawczego. Podzielimy tematy spisowe na cztery zasadnicze grupy zagadnień: a) *demograficzne*, b) *strukturalne*, c) *produkcyjne* i d) *specjalne*. Podział ten ma dwie zalety: odpowiada zgrubsza pewnemu naturalnemu podziałowi problemów, istniejących w rolnictwie, oraz rozgranicza zagadnienia pod kątem widzenia ich charakteru i przynależności statystycznej. Interesuje nas obecnie to drugie kryterium klasyfikacyjne. Dyskusja, jaka winna być podjęta nad zagadnieniem zakresu spisu, powinna iść od góry, przesądzając kwestie objęcia lub odrzucenia pewnych zasadniczych grup tematów, rzecz prosta w oparciu o znajomość składników, występujących w poszczególnych grupach. Potem dopiero na warsztat dyskusji przyjdą sprawy związane ze szczegółowymi tematami, których ustalenie będzie pracą żmudną i równie odpowiedzialną.

Najmniej sporne będą niewątpliwie zagadnienia grupy strukturalnej, które są klasycznym składnikiem i podstawą spisów rolnych. Zagadnienia demograficzne, związane bezpośrednio z człowiekiem gospodarującym, obejmują zasadniczo tematy właściwe powszechnym spisom ludności. Zagadnienia produkcyjne, wielkiej doniosłości i wagi, nastręczają zastrze-

żenia natury technicznej, budząc wątpliwości czy mogą być zbadane aparatem spisu powszechnego. Wreszcie tematy grupy specjalnej w większości odrywają się od ram indywidualnego warsztatu, będącego podstawową jednostką spisową. Rozważamy wszystkie grupy po kolei.

W grupie strukturalnej, widzimy następujące tematy szczegółowe: *struktura agrarna* w sensie liczby gospodarstw według wielkości powierzchni, *tytuł władania*, przy czem wypływa tu kwestia ujmowania własności czy warsztatu jako jednostki gospodarczej, *szachownica*, do dyskusji *serwituty* i *wspólnoty*, *użytkowania gruntów* przy znacznym stosunkowo zróżniczkowaniu użytków lub nieużytków, *budynki* mieszkalne i gospodarcze, *maszyny i narzędzia* rolnicze. Są to tematy prawdopodobnie niesporne.

W grupie zagadnień demograficznych wymienimy kilka zasadniczych naszym zdaniem tematów: *ludność* według płci, wieku i wykształcenia; kwestie *zarobków ubocznych*, tak dziś aktualne zwłaszcza w grupie gospodarstw karłowatych, a występujące m. in. pod postacią przemysłu ludowego i domowego oraz pracy chałupniczej; *narodowość*, która w opracowaniu powinna być związana ze strukturą; *stosunki najmu* stałego i niestałego. Demografia wsi nie może być oddzielona od jej struktury własnościowej ani też od wielu innych tematów rolniczych. Spisy ludności, ujmujące demografię dostatecznie szczegółowo nie dają nam niestety właściwego wniknięcia w strukturę stosunków ludnościowych wsi w ścisłym związaniu z warsztatem rolnym. W spisie ludności bazą jest człowiek, w spisie rolnym — gospodarstwo. Pozostawiając gospodarstwo jako podstawę spisu nie można od niego oddzielić człowieka gospodarującego i nie scharakteryzować jego najistotniejszych cech.

W dziedzinie zagadnień produkcyjnych podnosimy zasadniczą wątpliwość, czy spisujący potrafi wydobyć od gospodarza niezbędne wiadomości, dotyczące wysokości produkcji lub innych wyników gospodarowania. Potrzeba spisania *powierzchni zasiewów* oraz liczby *zwierząt gospodarskich* wydaje się niewątpliwą. Zdajemy sobie sprawę, że spisanie zasiewów nastręczy poważne trudności komisarzowi. Uchwycenie plonów nawet ważniejszych tylko ziemiopłodów nie ma prawdopodobnie szans powodzenia, a nawet możnaby kwestionować jego celowość. W zakresie plonów komisarz będzie zdany prawie wyłącznie na łaskę gospodarza, który w większości wypadków albo nie będzie chciał, albo często nawet nie będzie mógł powiedzieć, jakie są wydajności w gospodarstwie. Jeśli natomiast będziemy liczyli na korektywy komisarza spisowego, to częściowo zatracimy w ten sposób jeden z głównych celów, jaki przyświecałby powszechnemu badaniu plonów, a mianowicie związania plonów ze strukturą gospodarstw. Komisarz bowiem, korygując plony, robiłby to, mimo najlepszych chęci, opierając się w dużym stopniu na wyczuciu plonu przeciętnego w czasie i przestrzeni. Indywidualność gospodarstw byłaby tu stępiona na korzyść liczb przeciętnych. Dlatego lepiej jest pogłębić inne tematy a plony zbadać odmienną metodą i odrębnym aparatem. Pamiętamy jednak zawsze, że zagadnienie plonów — to jeden z naczelnych tematów statystyki rolniczej. Podobne uwagi można wysuwać i w stosunku do produkcyjności zwierząt.

Będzie chyba podnoszony temat zadłużenia, należy już to do rozważań szczegółowych, zdaje się jednak, że raczej temat ten nie da się ująć zakresem spisu.

W grupie tematów specjalnych wysuwają się na czoło i wymagają związania metodycznego a niekiedy i organizacyjnego ze spisem rolnym następujące zagadnienia: *lasy, przemysł rolny, ludność bezrolna, urządzenia życia zbiorowego wsi.*

Jako przykład do dyskusji już w dziedzinie tematów szczegółowych nasuwa się np. próba oświetlenia zasięgu płodozmianu, nie wnikając przy tem w opis a jedynie przez stwierdzenie jego istnienia lub nie istnienia. Założenie płodozmianu to zwykle jeden z pierwszych podstawowych etapów organizacji gospodarstwa. Chcemy wiedzieć ile gospodarstw stosuje płodozmian, i jakie są zatem np. wyniki akcji instruktorskiej i promieniowania gospodarstw przykładowych. Wrażenia z terenu nie dają oświetlenia zasięgu w przekroju powszechnym.

Omówiony zakres spisu uważać należy za minimalny. Mimo wielu względów, przemawiających za stosunkowo szczupłym zakresem spisu, nie należy zbytnio zakresu tego pilnować a iść raczej rozszerzająco. Nie mieliśmy dotąd spisu i niewiadomo kiedy go powtórzymy. Materiały raz zebrane wcześniej lub później można opracować. Zmontowany aparat należy w pełni wykorzystać. Wobec tego za ważniejsze kryteria, ograniczające zakres, należy uznać możność lub niemożność pozyskania danych przez komisarza, a dopiero na drugim miejscu stawiać koszty przyszłego opracowania.

Przy ustalaniu terminu spisu wydaje się obowiązujące tylko jedno kryterium — czas niezbędny na dokonanie prac przygotowawczych, a poza tem im prędzej tem lepiej.

Jeśli spis będzie przeprowadzony przypuśćmy w roku 1939, to należy oczekiwać, że w okresie paru lat uzyskamy już pierwsze zasadnicze wyniki. Od dnia zakończenia spisu opinia rolnictwa będzie niewątpliwie czekała na te wyniki z kalendarzem w ręku.

*K. Czerniewski.*

JERZY MICHAŁOWSKI

# NIEUNIKNIONA KONIECZNOŚĆ

O sytuacji mieszkaniowej w Polsce można już dziś nie pisać. Polemika prasowa, która przed paru tygodniami toczyła się na łamach Gazety Polskiej, oświetliła chyba dostatecznie materiały statystyczne, dotyczące rosnącego z roku na rok braku mieszkań, ich stanu i zaludnienia, a każdy posiadacz Małego Rocznika Statystycznego może łatwo w tej „Księdze ubogich" zaspokoić swój głód liczb z tego zakresu.

Nikt dziś nie kwestionuje już, że sytuacja mieszkaniowa nabiera cech klęski społecznej, nikt nie poddaje w wątpliwość opinii lekarzy, higienistów, socjologów, urbanistóow, a nawet polityków, głoszących ponure horoskopy na przyszłość. W szerokim wachlarzu przepowiedni od karłowacenia rasy aż po upadek moralności, najbardziej interesują nas wróżby gospodarcze. Sprowadzić je można do zmniejszenia się sprawności fizycznej ludności, a więc upadku jej zdolności do pracy, i to zarówno pokolenia już pracującego jak i wchodzącego w okres produkcyjny, a następnie do wielkiego udziału wydatków sztywnych (komorne) w budżecie prawocnika, zmnieszającego wydatki inne — bądź konsumcyjne, bądź ewentualną oszczędność.

Oczywiście wszystkie inne konsekwencje głodu mieszkaniowego mają również swoje reperkusje gospodarcze, już jednak te dwie bezpośrednie powinny stać się podstawą akcji zaradczej. Niestety nieliczny polski ogół ekonomistów skłonny jest raczej do odsuwania na dalszy plan czynnika ludzkiego w mechanizmie gospodarczym. Poza tem w ogromnej skali naszych potrzeb sprawa mieszkaniowa wyprzedzana jest nawet przez cały szereg potrzeb konsumcyjnych, otrzymuje lokatę niezmiernie daleką.

Pogląd ten jest o tyle fałszywy, że potrzeby mieszkaniowe ogółu ludności zaspakajane są dziś niewątpliwie w stopniu nierównie mniejszym od wszystkich innych braków w dziedzinie konsumcji. Na skutek przyrostu naturalnego, urbanizacji i niszczenia starych domów, rozpiętość powiększa się z roku na rok. Usunięcie tej dysproporcji wymaga pewnego przestawienia hierarchii celów. Oczywiście w istniejących warunkach trudno dążyć do tego, aby robotnik w Polsce mieszkał *dobrze*. Chodzi przynajmniej o to, aby *nie mieszkał tak źle* jak obecnie.

Ale nawet tak skromnie zakreślony program wymaga powstania w ciągu niewielu lat ogromnej liczby mieszkań. W jaki sposób jest to możliwe?

Gdyby traktować budowę mieszkań jako jedną tylko — równorzędną do wielu innych — dziedzinę produkcji dóbr konsumcyjnych, analogicznie do wyrobu ubrań, mydła, czy hodowli drobiu, dyskusja nad sprawą mieszkaniową byłaby bezprzedmiotowa. W systemie gospodarczym, w którym żyjemy, produkcję takich dóbr reguluje prawo popytu i podaży, pozostające w ścisłym związku ze zdolnością nabywczą osób zainteresowanych i ceną pieniądza na rynku.

Pomiędzy podażą i popytem na mieszkania istnieje dziś przepaść, której przekroczenie nie będzie łatwe. Popyt ze strony ogromnej masy ludności niezamożnej dotyczy mieszkań *tanich*, natomiast podaż reprezentuje mieszkania wprawdzie małe, ale *drogie*, takie, które przynoszą właścicielowi wysokie oprocentowanie wkładu, a więc zachęcają go do lokowania kapitału w budownictwie. Proponować kapitaliście obniżenie komornego — znaczy to skłonić go do obniżenia oprocentowania kapitału. Odpowiedzią będzie niewątpliwie wycofanie kapitału z budownictwa i umieszczenie go w przemyśle czy handlu, który jest dziś bardziej opłacalny, daje wyższe odsetki niż mieszkania dla robotników.

Produkcja mieszkań tańszych rozwinęłaby się dopiero po nasyceniu dziedzin inwestycji zapewniających wyższą rentowność, a więc po ogólnym obniżeniu stopy procentowej. Wobec ogromu potrzeb w najrozmaitszych dziedzinach naszej gospodarki i słabej kapitalizacji, chwila taka nie prędko nastąpi.

Jest jeszcze druga możliwość urentownienia lokaty pieniądza w budownictwie, a mianowicie zwyżka zarobków do takich rozmiarów, które umożliwiłyby przeznaczenie znacznie większych niż dotychczas kwot na opłatę komornego i tą drogą spowodowały wzrost rentowności domów czynszowych. Pomijając już wszystkie wtórne objawy tego zjawiska, podnoszącego ogólny poziom życiowy, a więc i rentowność innych dziedzin produkcji, wzrost komornego i t. p., musimy tu stwierdzić ze smutkiem, że zarówno dotychczasowe tendencje rozwoju płac w Polsce jak i widoki na przyszłość nie pozwalają brać tego czynnika za podstawę do przewidywań. Jesteśmy krajem niskich płac i na długo jeszcze nim pozostaniemy. Dlatego też nie można uważać za rzecz realną, aby zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych nastąpiło u nas w drodze normalnych wędrówek kapitału.

Pozostaje jeszcze do udowodnienia, że budowanie mieszkań dla warstw niezamożnych jest istotnie nierentowne. Sprobujmy tu dokonać dwóch szacunków biorąc za podstawę mieszkanie dla robotnika o zarobku 200 zł miesięcznie i dla pracownika umysłowego o zarobku 350 zł — a więc jednostki stojące powyżej przeciętnego poziomu płac. Przyjmując, że na komorne mogą oni przeznaczać 15% zarobku, czynsz wynosiłby 30 i 52,5 zł. Koszt budowy mieszkania dla robotnika, opierając się na doświadczeniach T. O. R-u określamy na 6.000 zł, dla pracownika umysłowego na 9.000 zł. Przy tych założeniach i przy 25-letnim nawet okresie amortyzacji kapitału, oprocentowanie jego wyniesie w obydwu wypadkach 2,5%. Nie uwzględniliśmy tu wprawdzie ulgi w podotku dochodowym, ale pominęliśmy również w sumie komornego koszty administracji, a także przyjęliśmy okres amortyzacji wyższy od zwykle dziś stosowanego, zakładając z pewnym prawdopodobieństwem, że wynikające stąd kwoty zbilansują się wzajemnie.

Nie znam kapitalisty, który powodując się pobudkami gospodarczemi zgodzi się obecnie w Polsce na ofiarowanie kapitału po takiej cenie. W rachubę

wchodzić może jedynie budownictwo patronalne. Pracodawca budując mieszkania dla pracowników swego zakładu przemysłowego może poprzestać na tak niskim oprocentowaniu, gdyż osiąga jednocześnie rentowność pośrednią — drogą zwiększenia wydajności pracy robotników mieszkających w lepszych warunkach, związanych ściślej ze swym zakładem.

Pogląd taki — reprezentowany w niedawnej dyskusji w Gazecie Polskiej przez prof. Thullié, proponującego wprowadzenie ustawowego obowiązku budowy mieszkań przez pracodawców, ma jednak również strony ujemne. Ze stanowiska społecznego powstaje niebezpieczeństwo zbytniego uzależnienia pracownika od pracodawcy — będącego jednocześnie jego kamienicznikiem. Utrata pracy powoduje automatycznie utratę mieszkania. Tej kumulacji nieszczęść uniknąć można przez przewłaszczanie mieszkań, ale takie rozwiązanie nie odpowiadałoby znowu pracodawcy. Z punktu widzenia gospodarczego wkalkulowywanie kosztów budowy mieszkań do kosztów budowy przedsiębiorstw oznacza dość znaczne powiększenie kapitału inwestycyjnego w przemyśle — co przy ubóstwie naszego rynku finansowego wydaje się na większą skalę niezmiernie trudne do zrealizowania.

Z czystym przeto sumieniem stawiamy tezę, że nie możemy pokładać żadnych nadziei na samoczynny rozwój budowy tanich mieszkań przez kapitał prywatny ani dziś, ani w okresie przyszłym, prawdopodobnie w okresie życia przynajmniej jednego pokolenia.

żeby skończyć z negatywną stroną zagadnienia mieszkaniowego wspomnijmy jeszcze o ochronie lokatorów. Kończy ona swój żywot w stosunku do małych mieszkań za 5 względnie 6 lat. Niewątpliwą konsekwencją tego — przy obecnym stanie budownictwa — będzie podrożenie czynszów i gwałtowne zaostrzenie sytuacji na rynku mieszkań robotniczych. Na dodatnie skutki zniesienia ustawy, — polegające na zwiększeniu rentowności starych domów i lokowaniu tych nadwyżek w budownictwie — będziemy długo czekać. Jedynym ratunkiem może być znaczne, bardzo znaczne nasilenie budownictwa małych, tanich mieszkań w najbliższych latach.

Jeżeli w poszukiwaniu możliwości zrealizowania tego postulatu mamy na myśli budownictwo publiczne, finansowane i kierowane przez Państwo i samorząd, to nie dlatego, że ostatnio przy każdym trudniejszym zadaniu zwykli się ludzie modlić o mannę niebieską ustawy państwowej. Jest to tylko naturalna konsekwencja omówionej powyżej niemożliwości innego rozwiązania sprawy.

W niedawnej dyskusji zainicjowanej przez p. Maurycego Jaroszyńskiego wyłoniła się inna jeszcze koncepcja, reprezentowana przez p. Stefana Starzyńskiego. Sprowadza się ona do oddania wszystkich środków publicznych przeznaczonych na budownictwo kapitalistom prywatnym, którzy otrzymawszy tę subwencję będą w możności budować mieszkania inne niż dotychczas: małe i tanie, utrzymując jednocześnie rynkowe oprocentowanie swego kapitału. Takie rozwiązanie sprawy miałoby przyczynić się do znacznego wzrostu ilości wyprodukowanych izb.

Dotychczasowa praktyka w zakresie finansowania i subsydiowania (poprzez ulgi podatkowe) budownictwa prywatnego nie uzasadnia tego optymizmu. Zastrzyknięto dotychczas tą drogą ponad miliard złotych, a w rezultacie powstało wprawdzie ponad 200 tysięcy izb, ale niemal wyłącznie w mieszkaniach większych i drogich, niedostępnych dla osób najbardziej — z punktu widzenia społecznego — potrzebujących zmiany warunków bytu. Oczywiście można poprzez zmianę zasad finansowania osiągnąć inny wynik, ale powstaje zagadnienie czy nie będzie to zbyt kosztowne w stosunku do osiągniętego efektu?

Sprobujmy znowu krótkiego szacunku. Obliczyliśmy powyżej, że rentowność obecna kapitału zainwestowanego w mieszkanie robotnicze wynosi około 2,5%. Wynika z tego, że dla osiągnięcia stopy tylko 7 — 7,5% należałoby *dopłacać* bezzwrotnie z kapitałów publicznych około 5 — 5,5%. Aby więc „kupić" 10.000.000 złotych u przedsiębiorcy, trzeba mu corocznie płacić ponad 500.000 zł z pieniędzy podatkowych.

Jak się ta sama kalkulacja przedstawia przy akcji T. O. R-u finansowej przez Państwo? Oprocentowanie uzyskiwane w jego budynkach wynosi 2%. Skarb kupuje kapitał na 6%, a więc dopłata do 10.000.000 zł wynosi tylko około 400 tysięcy złotych, przy czem zarówno *własność* jak i *dyspozycja* mieszkań pozostaje w ręku instytucji publicznej. Wydaje się więc, że właśnie tą drogą, kosztem mniejszych dopłat z sum podatkowych związać można więcej kapitału, a więc wyprodukować więcej mieszkań, zaspokoić więcej potrzeb.

Podnosi się tu oczywiście zarzut etatyzmu, zarzut drenowania rynku pieniężnego. Skoro jednak założymy, że budownictwo mieszkań społecznie niezbędnych *musi* się rozwinąć na szerszą skalę — a to założenie jest chyba bezsporne — nieuniknione jest takie czy inne związanie pewnych środków. Droga prowadząca te kapitały poprzez budownictwo publiczne wydaje się nam właściwsza. A czy będą one pochodziły z wolnego rynku, czy z Z. U. S. i P. K. O., czy budować ma bezpośrednio Państwo, Samorząd, spółdzielnie, czy też specjalna jakaś instytucja, — to już jest sprawa *organizacyjna*, otwarta dla dalszej dyskusji.

Przechodząc na teren bardziej sporny, rzućmy jeszcze na żer dyskusji dwa zagadnienia dość istotne dla dalszego rozwoju sprawy mieszkaniowej.

A więc przede wszystkim zjawisko znane dobrze każdemu, kto miał okazję wyjrzeć na peryferie któregokolwiek z naszych większych miast — choćby z okien wagonu na warszawskim węźle kolejowym. Na przestrzeni od Ochoty aż po Pruszków możemy zaobserwować ogromne przestrzenie terenów zabudowanych w ciągu ostatnich kilku lat, gęstymi, bezładnymi skupiskami domków. Wyciskani ze śródmieścia, uciekając przed przeludnieniem, sublokatorstwem i kątownictwem, lokują robotnicy i urzędnicy najdrobniejsze oszczędności, zapożyczają się w sposób zagrażający normalnemu odżywianiu i na

skrawkach terenów kupionych, dzierżawionych lub zajętych iure caduco — budują „dom”. W ten sposób powstają te „osiedla” lepianek i baraków, pozbijanych ze starych desek, cegieł z rozbiórki, blachy z opakowań, gliny i nawet słomy. Gdzieniegdzie tylko stoją większe, kilkumieszkaniowe domy o mieszkaniach do wynajmu, wprawdzie tanich, lecz o wyposażeniu zaprzeczającym najprymitywniejszym wymaganiom higieny. Te osiedla — tzw. bieda-budownictwo — przybierają rozmiary coraz większe, otaczają pierścieniem całe miasta. W Gdyni mieszczą już większą część całej robotniczej ludności.

Budownictwo takie jest jeszcze jednym objawem naszej klęski mieszkaniowej i jest w swych skutkach groźne i niebezpieczne. Mieszkania, które w ten sposób powstają, jakkolwiek nowe, są gorsze niż w oficynach „studzien” śródmieścia, są krótkotrwałe i przeludnione od chwili powstania. Te dzikie osiedla stają się po kilku latach całemi dzielnicami miast, zagwożdżają ich normalny rozwój. Budowane z pominięciem wszelkich przepisów i zasad policyjno-budowlanych, rozwijające się absurdalnie z punktu widzenia urbanistycznego, uniemożliwiają racjonalne planowanie rozwoju miasta, jego właściwą rozbudowę i politykę terenową. W ten sposób zdrowy ruch ludności ku przedmieściom przekształca się w złośliwą narośl na organizmie miejskim, a rozproszkowane wprawdzie, ale w masie dość znaczne kapitały zaśmiecają, dezorganizują miejskie regiony.

Zahamować rozwoju bieda-budownictwa nie można. Można je tylko i trzeba podciągać na wyższy poziom techniczny, dostosować do kierunków rozwojowych miasta, zracjonalizować. Niewielka pomoc finansowa przy znacznej opiece organizacyjnej i technicznej przyczynić się może do powstawania prymitywnych, lecz właściwie rozplanowanych osiedli, wyposażonych w najbardziej niezbędne urządzenia użyteczności ogólnej.

Wydaje się, że tylko samorząd powołany jest do tej pracy. Tylko samorząd posiada odpowiednie uprawnienia ustawowe (wywłaszczanie), egzekutywę i aparat planowania urbanistycznego, jest wreszcie bezpośrednio zainteresowany sposobem użytkowania terenów przyszłej ekspansji miasta. Obojętność ze strony miast dla tego problemu nie może być usprawiedliwiona brakiem środków. Jest to zagadnienie w lwiej części organizacyjne, jak o tem świadczą zresztą przykłady zagraniczne, zwłaszcza niemieckie. Dotychczasową bezczynność samorządów tłumaczyć można tylko brakiem zainteresowania, tylko niezmiernie daleką lokatą sprawy mieszkaniowej w hierarchii zadań publicznych.

W imię prawdy trzeba zresztą powiedzieć, że nie wszędzie jest tak samo, że gminy mniejsze wyprzedzają pod tym względem samorządy dużych miast. W stosunku do środków, jakimi rozporządzają, łożą znacznie większe sumy i przejawiają więcej inicjatywy niż ośrodki większe — w których stosunki mieszkaniowe są znacznie cięższe. Tak np. Łódź, bodaj że najbardzie przeludnione w Europie miasto, nie podejmuje żadnych wysiłków w kierunku budownictwa społecznego, a Warszawa dopiero w roku bieżącym zdecydowała się dać swój wkład terenowy budownictwu Toru.

Drugie zagadnienie, wymagające wszechstronnego przedyskutowania, to sprawa budownictwa mieszkaniowego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Jest ono o tyle trudne, że wiąże się z całym skomplikowanym kompleksem problemów lokat ubezpieczeniowych, ich wymaganą rentownością i bezpieczeństwem.

Budowy z lokat ubezpieczeniowych polegały dotychczas głównie na zwykłych mieszkaniach czynszowych, przeważnie dużych i odpowiednio drogich. Jednocześnie jednak, od kilku lat idąc za hasłem profilaktyki Z. U. S. poświęca duże kwoty na akcję zapobiegawczą, organizuje obozy wypoczynkowe dla robotników itp. Akcja niewątpliwie słuszna, ale powstaje pytanie czy budowa mieszkań dla ubezpieczonych nie byłaby najlepszą profilaktyką? Czy całoroczne przebywanie w higienicznych mieszkaniach nie odbiłoby się w stopniu nierównie większym na poprawie stanu fizycznego ubezpieczonych (a więc i na finansach Ubezpieczalni) niż dwutygodniowy obóz?

Gdyby przyjąć to założenie doszlibyśmy do wniosku, że kombinując sumy lokacyjne Z. U. S. ze środkami przeznaczonymi na profilaktykę, można obniżyć nieco oprocentowanie kapitału, które tkwić musi w kalkulacji czynszu, a więc udostępnić mieszkania budowane przez Z. U. S. dla robotników i mało zarabiających pracowników umysłowych. Ograniczając to budownictwo do mieszkań 1, 2 i 3 izbowych zwiększyć można jego wynik ilościowy. Przy takim przestawieniu swej działalności mógłby Z. U. S. odegrać dużą — należną mu — rolę na rynku mieszkaniowym. Oczywiście — jest to znowu budownictwo publiczne czystej krwi.

*

* *

Rozwiązywanie zagadnienia głodu mieszkaniowego jest i łatwiejsze i trudniejsze od większości problemów gospodarczych. Łatwiejsze, bo znane są i stałe wszystkie jego elementy — dynamika przyrostu naturalnego, niszczenia starych domów, urbanizacji, relacji zarobków i czynszów itp. Jest zaś zagadnieniem trudnym zarówno ze względu na swe rozmiary, jak i z uwagi na nieuchronność, z jaką następuje pogarszanie się sytuacji, całkowicie niezależnej od fluktuacji koniunktury. Konieczność podjęcia tej trudnej akcji budownictwa społecznego zarysowuje się tem silniej, staje się coraz bardziej nieunikniona — i coraz bardziej pilna.

# NOTATKI

## KILKA SŁÓW O PROPAGANDZIE

Propaganda odgrywa w dzisiejszych czasach tak ogromną rolę, iż bez niej nie podobna wszczynać jakiejś poważniejszej akcji gospodarczej i społecznej. Śmiało powiedzieć można, iż umiejętność uświadamiania ludności może mieć znaczenie wręcz decydujące o powodzeniu tych poczynań.

Zadania propagandy szczególnie są duże w społeczeństwach o małej świadomości obywatelsko - gospodarczej, w zbiornicach ludzi o niskiej kulturze duchowej i materialnej. Za pomocą niej bowiem można niekiedy dokonać przeobrażeń psychiki zbiorowej, można dokonać mobilizacji mas przez utrzymanie ich w napięciu psychicznym. Aby wszakże propaganda mogła dać należyte rezultaty musi być organizowana misternie, z głęboką znajomością psychiki ludzkiej, szczególnie z jej przejawami w życiu zbiorowym. W realizacji propagandy muszą być uruchomione różnorodne środki, wszelkie zdobycze z dziedziny nauki, techniki i sztuki.

Powyższe uwagi nie są żadną nowością, ale mimo woli chce się je powtórzyć, mimo woli nasuwają się one natarczywie, jeśli się obserwuje losy propagandy u nas. Niestety pomimo jej ogromnego znaczenia, rola jej u nas nie jest ani rozumiana, ani doceniana, a o organizacji jej — oczywiście — nie ma się na ogół żadnego pojęcia. Jest to niewątpliwie poważna wada naszego życia zbiorowego, wada ta w dużej mierze ściśle się łączy z warunkami ustrojowymi, poza tem wynika ze specyficznej mentalności naszych obywateli. Jedną z cech tej mentalności jest nieumiejętność obejmowania myślą całości spraw gospodarczo - społecznych, nieumiejętność myślenia w skali globalnej. W jednym jednak niezawodnie celujemy: w narzekaniu; to czynimy doskonale. Wytworzyła się atmosfera chorobliwa, w której rzeczy dobrych usiłuje się nie widzieć, a rzeczy złe — usiłuje się rozdmuchiwać.

Wydaje się, że w zakresie stosowania metod propagandy odpowiedzieć należy na dwa zasadnicze pytania: co i jak. Zdajemy sobie sprawę z trudności jakie w naszych warunkach nastręcza odpowiedź na pierwsze pytanie; skuteczność propagandy i jej sens w dużym stopniu zależą od szerokości frontu na jakim się odbywa i od zawartej w niej treści. Tem większą jednak uwagę przywiązywać należy do odcinkowej akcji propagandy, zarówno w wyborze tematu, jak w samej technice wykonawczej. Niestety odpowiedź na drugie pytanie również nie wypada zadowalająco.

Weźmy na przykład kino. W ciągu długiego czasu na ekranach widzieliśmy bójki amerykańskich bokserów, występy amerykańskich śpiewających murzynów itd., ale nareszcie zrozumiano, że przecież żyjemy w Polsce, że nie można przechodzić obojętnie obok wszelakich przejawów życia naszego społeczeństwa.

Kilka lat temu nastąpiła w tym względzie pewna zmiana pozostająca w związku z odkryciem wsi w Polsce. Postanowiono więc informować mieszkańców miast o życiu ludności wiejskiej. Rolę tę spełniać miały krótkometrażówki. W ciągu kilkunastu minut mieliśmy się dowiedzieć w jakich warunkach wieś przebywa, czem się zajmuje, jak żyje, jakie są rozmiary nędzy i zamożności, co się robi dla podniesienia poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi. Tak, mieliśmy widzieć, ale — nie widzieliśmy. Pomijając już to, iż nie wiele owych krótko-metrażówek było, — jakże mizernie one wyglądały. Jedna z nich np. miała na celu pokazanie... narzędzi rolniczych. Tak więc pokazano wóz, bronę, pług, a speaker z wielką powagą i pompą ogłaszał: „wóz", „brona", itd. Ucieszyła mnie jednak reakcja publiczności, która poprostu wygwizdała i „wytupała" takie rewelacje. Innym razem pokazano nam konika brykającego po łące, to znów krówkę. Niewątpliwe — ładny to i ciekawy obrazek. Wątpliwe tylko, czy wiadomości ludności miejskiej o życiu naszej wsi zwiększyły się wskutek tego i czy tu leży sedno propagandy. Wszystko to razem wziąwszy robi wrażenie, iż ponieważ zapanowała moda na wieś, trzeba się nią pobawić. Tak samo przypuśćmy, jak niegdyś bawiono się w „jo-jo".

Radio też nie śpi. I tam mamy różnorodne usiłowania robienia propagandy. Mamy więc rozmaite audycje, pogadanki aktualne, których... najczęściej wysłuchać człowiek nie jest w stanie. Takie są nudne.

Nie lepiej się też dzieje ze słuchowiskami dla wsi. Za małymi wyjątkami są to hocki-klocki, naszpikowane płaskim humorem. W każdym razie słuchowiska te w zupełności nie spełniają swego celu a często wywołują rozdrażnienie z powodu „przedrzeźniania" gwary wiejskiej. Dla słuchacza wiejskiego cały ten robiony „folklor" jest nie do zniesienia.

W ostatnich czasach mamy niewątpliwie do zanotowania szereg poważnych sukcesów gospodarczych. Oczywiście największy sukces to C. O. P. W odniesieniu do C. O. P. nie można właściwie zastosować słowa „sukces" ponieważ nabiera on charakteru sui generis ewolucji gospodarczej.

C. O. P. dowodzi, iż potrafimy wzbogacać kraj dzięki własnym siłom. Ale C. O. P. dowodzi również, że nie potrafimy wyzyskać tych poczynań, nie umiemy zorganizować wokół nich racjonalnej propagandy. Zorganizowanie wycieczki przedstawicieli, zainteresowanych grup społecznych na teren C. O. P. było wysoce korzystne. Ale dla czego do czasu zorganizowania tej wycieczki szerokie rzesze społeczeństwa nic nie wiedziały co się tam dzieje. „Szerokie rzesze społeczeństwa" zaś to nie tylko ludność miejska, lecz także i wiejska. A czy chłopi na Wileńszczyźnie, Wołyniu, Pomorzu i innych terenach wiedzą cośkolwiek o C. O. P.? Jestem głęboko przekonany, że prawie nic, a jeśli wiedzą, to bardzo niewiele.

Entuzjazm z niczego nie powstanie. I nie powstanie choćby nie wiem ile artykułów ukazało się w prasie na temat samego entuzjazmu. Natomiast C. O. P. może wywołać entuzjazm, a przytem entu-

zjazm cenny, bo powszechny, entuzjazm mas. Trzeba wszakże entuzjazm ten masom „udostępnić".

Przytoczyłem powyżej kilka uwag na marginesie zagadnienia propagandy. Jest ona u nas bagatelizowana, a jeśli niekiedy rozumie się jej rolę, to organizuje się ją nieumiejętnie, a nade wszystko nie celowo.

Poza tem musi być zachowana jakaś proporcja pomiędzy rozmiarami propagandy, a przedmiotem jej. Jeżeli gdzieś otwiera się mały mostek, czy kilometr nowo wybudowanej szosy, i wokół tego robi się tak wielki hałas, że się ma wrażenie, iż wybuchła druga wojna światowa — to napewno nie jest to racjonalne.

Prawdopodobnie dużo wody w Wiśle upłynie zanim zajdzie jakaś poważniejsza zmiana w omawianej sprawie. Zmiana ta leży w płaszczyźnie możliwości i zależy od naszej woli.

*A. Kwiatkowski*

## APTEKI I DROGERIE

Kto czytał historię gospodarczą epoki średniowiecza, uderzony był mnogością sporów pomiędzy cechami rzemieślniczymi na temat, komu wolno produkować dany towar. Kłócili się czapnicy z kapelusznikami, kto z nich ma prawo wytwarzać nakrycie głowy, kłócili się cieśle z kołodziejami, ślusarze z rusznikarzami i puszkarzami, słowem — panował duży zamęt, a sądy koronne i polubowne zawalone były robotą.

W dwudziestym stuleciu średniowieczne spory o kompetencje odżyły w całej pełni. Żyją one nie tylko w dziedzinie ministerialnej, lecz, co gorsza, również w dziedzinie gospodarczej. Rzecz prosta, chodzi tutaj o podział bochenka recte dochodu społecznego.

Ostatnio kłótnia wybuchła pomiędzy aptekami a składami aptecznymi, czyli drogeriami. Dla ścisłości trzeba dodać, że trwa ona nie od roku, a od lat kilkunastu, przyczem kłócący się — swoje, a życie — także swoje.

O cóż poszło i o cóż chodzi? O specyfik. Pp. aptekarze dowodzą, że sprzedaż specyfików musi należeć wyłącznie do nich, gdy pp. drogerzyści są za podziałem: apteki będą sprzedawały specyfiki za receptą lekarza, drogerie — bez tej ostatniej. Nawiasem zresztą mówiąc, wytwórcą specyfików jest przemysł chemiczno - farmaceutyczny, rozwijający się w Polsce w sposób bardzo ładny.

Przemysł jak to przemysł: chciałby jak najwięcej znaleść nabywców na swoje towary. A nabywcy jak to nabywcy: chcieliby mieć wszędzie pod ręką tanie lekarstwa. Interes producentów pokrywa się, jak stąd widać z interesem spożywców, cóż, kiedy „po drodze" obie strony spotykają pokłóconych pośredników. Tak jest: pośredników, bo i skład apteczny i apteka jest pośrednikiem, kupcem. Ba! niektóre artykuły, o które apteki toczą walki z drogeriami, znaleść można w sklepach perfumeryjnych i nawet mydlarniach, gdzie ich nie dostrzeże czujne oko inspekcji farmaceutycznej.

Istnieje jedna różnica pomiędzy apteką a drogerią: gdy druga jest tylko kupcem, to pierwsza jest zarazem i wytwórcą. Wytwórczość jej sprowadza się jedynie do wyrobu lekarstw, dozowanych według indywidualnych recept lekarzy. Trzeba jednak trafu, że system „receptowy" kurczy się i że miejsce lekarstw aptecznych zajmują co raz to więcej specyfiki fabryczne, przygotowane przez przemysł w formie handlowej (z opakowaniem, odpowiednim dozowaniem, sposobem użycia i t. p.).

Pp. aptekarze, sprzeciwiając się sprzedawaniu specyfików przez drogerie, posiłkują się dwoma argumentami. Jeden z nich powołuje się na kontrolę nad jakością leków, dostarczanych społeczeństwu, drugi zaś ma podłoże czysto ekonomiczne. Waga pierwszego argumentu jest niewielka, gdyż kontrola nad drogeriami jest ostra, a luki, jakie w niej tkwią, są dogodne nie dla drogerii, lecz dla różnych mydlarni, perfumeryj i t. p. Drugi argument ma już inny kaliber: byt niektórych aptek — mówi się — nie może się opierać wyłącznie na sprzedaży produkowanych przez nie lekarstw, gdyż to nie wystarczy, aby kosztowna inwestycja apteki mogła się opłacać, wobec czego konieczne jest znalezienie dodatkowych źródeł dochodu dla aptek.

Wydaje się, że taki punkt widzenia jest do przyjęcia. Tem więcej jednak obowiązuje jego konsekwencja: brak czyjegokolwiek monopolu na specyfiki. Wolno aptece „dorabiać" sprzedażą specyfików fabrycznych, wolno też nimi handlować drogeriom. Przedmiotu sporu właściwie nie ma. Ludność szuka towaru, pardon! lekarstwa, tam, gdzie ma do niego najbliżej. Podobnie jak to ma miejsce obecnie, kiedy mydło i pędzel do golenia można kupić nie tylko w drogerii w normalnych godzinach handlowych, lecz również w... aptece po zamknięciu... drogerii.

Sprawa wieloletniego sporu pp. aptekarzy z pp. drogerzystami byłaby sama przez się błaha, gdyby nie była tak — symptomatyczna. Przecież w postawieniu sprawy przez apteki można się bez trudu doszukać wpływu kartelizacyjnych dążności wielkiego przemysłu i — małego rzemiosła, a tendencje do przymusowej reglamentacji wymiany i spożycia nawet wbrew interesowi spożywców uzyskały w pp. aptekarzach solidnych pomocników.

*k. b.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.